

Pamiętki

RZECZ O PRZEMYSŁAWIE GINTROWSKIM

WYDANIE
OKOLICZNOŚCIOWE
BEZPŁATNE

ROK I, LIPIEC 2019





Tego po prostu brakowało

Rozmowa z Jackiem Pechmanem – twórcą i dyrektorem artystycznym „Pamiętek”

» Spotykamy się na pierwszej edycji Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Przemysława Gintrowskiego „Pamiętki”. To Twoja nowa produkcja festiwalowa. Wcześniej, przez 15 lat tworzyłeś, wspólnie z Fundacją im. Jacka Kaczmarskiego, znaną w Polsce „Nadzieję”, czyli festiwal poświęcony patronowi tejże fundacji.

» Z „Nadzieją” pożegnałem się już w zeszłym roku. Nie była to wówczas dla mnie łatwa decyzja, na którą jednak wpływ miało kilka czynników. Myślę, że w jakimś stopniu pojawiło się takie niesforne uczucie „wypalenia wewnętrznego” w tym projekcie, które poskutkowało, że „Nadzieję” już nie ma. Z drugiej strony liczyłem, że Fundacja im. Jacka Kaczmarskiego będzie miała wolę kontynuowania festiwalu nawet bez mnie, ale stało się inaczej. Nie pozostaje nic innego, jak uszanować tę decyzję. Natomiast nigdy nie zapomnę i będę zawsze o tym mówił z wdzięcznością, jak na ostatniej „Nadziei” otrzymałem od Kuglarzy, wspaniałej grupy tzw. kaczmariofilii, niesamowity koszt czekolad w podziękowaniu za wspólnie przeżyte 15 lat z piosenką Jacka Kaczmarskiego. Dla takich chwil warto żyć i tworzyć coś nowego. Dzisiaj spotykamy się na „Pamiętkach”. Zaczyna się dla mnie więc nowa przygoda i nowe wyzwania artystyczne, czyli zbudowanie festiwalu poświęconego jednemu z największych bardów XX i XXI wieku, który był częścią wielkiego TRIA: Gintrowski, Kaczmarski, Łapiński.

» Dlaczego „Pamiętki”?

» Przemysław Gintrowski, którego miałem zaszczyt być przyjacielem i od 2007 aż do jego śmierci w 2012 roku menadżerem, zasłużył sobie na to, by jego twórczość znalazła taką nową przestrzeń dla spotkań młodych ludzi kochających jego piosenki. „Pamiętki” stają się właśnie takim miejscem, gdzie najważniejszą częścią tego przeglądu jest konkurs na interpretację piosenek Przemka. Na mapie kulturalnej Polski po prostu czegoś takiego brakowało.

» Nie boisz się porównań do „Nadziei”?

» Takie porównania nie są najważniejsze. One oczywiście zawsze będą, chociażby na początku istnienia „Pamiętek”, co jest rzeczą zrozumiałą. Piętnaście lat – to naprawdę wielka walizka pięknych wydarzeń, spotkań z ludźmi i wielu przyjaciółmi. Wierzę, że „Pamiętki” mają szansę stać się czymś znaczącym w kulturze polskiej. I cieszę się, że są ze mną w tym projekcie żona barda, Agnieszka Gintrowska wraz z córką Julią. Bardzo im za tę obecność dziękuję.

» Dlaczego „Pamiętki” akurat w Kołobrzegu, a nie, na przykład, w Warszawie?

» Tu poznałem Przemka, kiedy przyjechał na moje zaproszenie do Kołobrzegu w 1997 roku. Później, po trzech latach, spotkał się na organizowanej przez moją żonę Katarzynę, „Herbertiadzie”, potem kolejny koncert, potem następny i jeszcze następny. W pewnym momencie stało się tak, że zostałem jego menadżerem, dzięki temu mogłem mu towarzyszyć przy tworzeniu dwóch płyt: „Tren” i „Kanapka z człowiekiem i trzy zapomniane piosenki”. Wdzięczny jestem za tę przyjaźń, za wzruszenia, rozmowy o Herbercie, polityce czy po prostu życiu. I dlatego, wraz z grupą osób, dla których twórczość Przemka jest wciąż ważna w życiu, stworzyłem „Pamiętki”. Nie mogło być inaczej.

» Dziękuję za rozmowę.

ROZMAWIAŁA ELŻBIETA LEWAK

Wśród licznych tekstów jakie ukazały się tuż po śmierci Przemysława Gintrowskiego, który zmarł po walce z ciężką chorobą 20 października 2012 roku w Warszawie, warto zwrócić uwagę na ten jeden, którego autorem jest Filip Łobodziński (na zdj.).

Jego wspomnienie ukazało się w tygodniku „Wprost” w październiku 2012 roku.

A pointy – jak zwykle straszne.

Pożegnanie z Gintrowskim

Przemysław Gintrowski (1951–2012). Gdy mówiono o nim „legenda”, uśmiechał się z dobrotliwą ironią. Chyba tego nie lubił. Nie rozczulał się nad sobą. 29 października na cmentarzu w Wilanowie Polska pożegnała jednego z bardów Solidarności.

Uważne spojrzenie spod ciężkich powiek. Głos – prosto z Hłaski. Przekonanie, że Sprawa i Prawda są ważniejsze niż Ochota czy Zadowolenie. Co jeszcze pamiętam o Przemku?

Najpierw był dla mnie starszym kolegą Kaczmarskiego, który ma dużo większe pojęcie o muzyce. Pamiętam, jak wiosną 1979 roku pojawili się obaj z Jackiem w mieszkanku Carlosa Marrodana na Marymoncie, żeby posłuchać płyt Lluisa Llach. Jacek miał już za sobą pierwsze wykonania Murów, napisanych parę miesięcy wcześniej na bazie piosenki Llach. Teraz jak urzeczony słuchał innych nagrań katalońskiego pieśniarza. A siedzący z boku Przemek co chwila rzucał: „Ale tu powinna być wielka tercja, a nie mała!” albo „Co on tam w basach gra?” Wtedy myślałem, że to poza. Potem zrozumiałem, że raczej głęboko przemyślana obrona przed łatwą euforią i potrzeba doskonałości.

Dał temu zresztą smakowity dowód cztery lata później w Krakowie. W maju 1983 nasz mocno amatorski jeszcze Zespół Reprezentacyjny występował w konkursie Studenckiego Festiwalu Piosenki. Jury naszpikowane autorytetami (Młynarski, Pietrzak, Pawluśkiewicz, Konieczny, Grechuta, Stanisławski, Stuhr...), mieliśmy więc ciężką tremę. Nieśmiało spytałismy kręcącego się klubie Rotunda Przemka, czy mógłby nam doradzić, jak pracować z mikrofonami na scenie, żeby nie wypaść jeszcze bardziej blado. Ufaliśmy, że pomoże – i pomógł w ustocie.

Doradził, jak śpiewać (ustami jak najbliżej mikrofonu) i jak usytuować gitary (otworami w pudle też bezpośrednio do mikrofonu) – wówczas ewentualne niedostatki wykonawcze ustąpią wobec siły przekazu, który był naszym atutem. Obiecał też, że stanie przy realizatorze nagłośnienia, by czuć przynajmniej nad brzmieniem. Zagraliśmy trzy piosenki, na sali wybuchła ekstaza, bo piosenki faktycznie waliły komunę dechą w łeb. Za sceną już pojawili się pierwsi reporterzy rozgłośni studenckich z magnetofonami i pytaniami w rodzaju: „Czy wiecie, że staliście się rewelacją?”

itp. – gdy nagle schodami przybiegli Przemek, z daleka przekrzykując ciągle trwające brawa: „Jak wyście te gitary trzymali, do ciężkiej cholery?! Mówiłem – dziurą na mikrofon! Do dupy to brzmiało!” – co reporterzy skwapliwie nagrywali...

Po co to piszę? Bo rację miał Przemek, a nie wiwatujące tłumy. Ich reakcja wynikała z nastroju chwili, atmosfery pierwszego festiwalu krakowskiego po wprowadzeniu stanu wojennego. W powietrzu kipiało od emocji społecznych, środowisko studenckie holdowało hasłu, że nieważne w jakiej formie, byle mocno w czerwonego. Po latach mieliśmy okazję posłuchać naszego występu konkursowego: rzeczywiście „do dupy to brzmiało”. Przemek zawsze pamiętał, że treści musi towarzyszyć adekwatnie mocna forma i że chór mniej waży od pojedynczego głosu.

Jego osobność słychać było w ramach tria Gintrowski-Kaczmarski-Łapiński, gdzie często śpiewał partie jednostek, będących w opozycji do tłumu lub władzy (karnawałowy król z Pejzażu z szubienicą, Jakub wobec anioła/Boga, Hiob, Jezus wobec kupców, Witkacy wobec świata, Stańczyk, dziad z Pikiety powstańczej, ofiara starców-ludojadów z Kanapki z człowiekiem...).

Nie lubił epitetu „legenda”, bo jest jak mafijny wyrok: oblega nogi cementem i koniec. Zamieniasz się we własny pomnik. Wolał kilka prostych zasad. Jak choćby ta, zobrazowana w wykonywanym przezeń wierszu Zbigniewa Herberta Kołatka: „suchy poemat moralisty/tak – tak/nie – nie”. Namietnie prosto stało narosłe mity na temat zarówno własnej osoby, jak i swoich relacji z Jackiem Kaczmarskim. Gminne plotki kreowały wielkie konflikty między nimi, podsycane różnymi poglądami politycznymi. Gdy wspominałem o tym kilka lat temu, uśmiechnął się z politowaniem: „Pracowało nam się po jego powrocie [z emigracji] sto razy lepiej niż przed wyjazdem... Pokłócić się o politykę to mogliśmy przed stanem wojennym”. Ba, niedługo przed chorobą Jacka planowali kolejne dwie wspólne płyty.



Podobnie z pamiętną „nową wersją” Murów, jaką mało znany bard Tolek Jabłoński sporządził z okazji wyborów parlamentarnych w 2005 roku, doczeplając do tekstu Kaczmarskiego optymistyczny post-refren, tandetny i kompletnie wypaczający treść. Mimo, że piosenka rozbrzmiewała na wiecach partii, do której Przemkowi było duchowo blisko, powiedział, że takie dodawanie słów bez zgody autora (Jacka) jest po prostu świństwem: „Jacek byłby wściekły”.

Trzy lata temu, 20 czerwca, Federacja Młodzieży Walczącej zorganizowała koncert w Muzeum Powstania Warszawskiego, mający uświetnić jej ćwierćwiecze. Zaproszono Grupę Bez Jacka, nasz zespół i na finał Przemka. Zestaw o tyle symboliczny, że w poplątany sposób łączyły nas właśnie Mury. Kaczmarski poznał oryginał piosenki dzięki nam, Przemek często wykonywał ją razem z Jackiem, zaś Jacek Stefański został zakatowany przez SB w 1983 właśnie za granie jej melodii w Gdańsku.

Uderzyło mnie wówczas, że przez dwa lata, kiedy się nie widzieliśmy, Przemek znacznie i niepokojąco zeszczuplał. Już naprawdę wyglądał jak wróżbita z dedykowanego jemu samemu wiersza Kaczmarskiego Błędy wróżbitów, do którego dopisał muzykę i który śpiewał: „Uwierzyć wróżbitom zgrzybiałym/bo raczej mieć będą zawsze/oni życie oddali/aby dramat był cały/a pointy – jak zwykle straszne”. Pocięszalem się, że taka już Przemkowa natura – dojrzewa, odrzucając zbędną materię, coraz bliższy Idei. Poza tym miał ze sobą wciąż ten sam od kilku dekad futerał gitary, polepiony plastrami, pamiętający jeszcze czasy KOR-u i Gierka... Skoro futerał przetrwał, to jego właściciel już jest wieczny.

Ten futerał to pamiętka – niedobrze byłoby, gdyby ktoś go wyrzucił, spalił wspomnienia. Reszta niech żyje, niech gra, z wielką tercją, z mikrofonem przy ustach. Niech tropi kształt rzeczy w ich sensie istotnym.

FILIP ŁOBODZIŃSKI



FOT. DARIUSZ IWAŃSKI

Po prostu: mocarz dźwięku

O Przemysławie Gintrowskim można powiedzieć na wiele sposobów, że był człowiekiem skromnym i wrażliwym, patriotą wiernym swoim przekonaniom i ewangeliczno-herbertowskiej zasadzie „tak, tak – nie, nie”. Że był człowiekiem ceniącym przede wszystkim rodzinę.

Ale odchodząc na chwilę od życiorysowych szablonów, spróbujmy powiedzieć o Nim inaczej.

Herbert, Kaczmarski, Sieniański, Holm, Tercz, Nowak; wiele osób trzeba by wymienić jeszcze, aby złożyć w całość księgę tekstów, które dzięki muzyce

Przemysława Gintrowskiego stały się pieśniami. I próżno tu szukać wierszy błahych czy ulotnych. Słowa poetów jak nici wiążą zdania w mocne tkanki ważnych, poetyckich obrazów. Mówią o uniwersalnych wartościach, stoją na straży prawdy, przyzwoitości, umiłowania wolności i piękna. Dźwięki jak obręcze wiążą słowa i będą ich obroną, zbroją i tarczą, które oprą się czasowi i przypomną je następnym pokoleniom. Taki właśnie wymiar ma pisanie muzyki, ożywianie nieznanego barier kodu emocji i czystego piękna. W muzyce Przemysława

Gintrowskiego słycać wierność słowu i słycać pokorę wobec treści, które mają współbrzmieć z melodią.

I jak dach świątyni nie może się ostać bez kolumn podtrzymujących sklepienie, tak pieśń nie zostanie pieśnią, jeśli odejmiemy jej dźwięk. Podziwiamy czasem dach, nie pamiętając, że podtrzymuje go mocna podstawa. Więc teraz jest pora, aby zapisać tę siłę w naszej pamięci. A jeśli pamięci – to świętej: Przemysław Gintrowski. Mocarz dźwięku.

(JP)

Miał swoje zasady i konkretne podejście do tego, co stworzył

Przemysław Gintrowski wspomina Marcin Żmuda, ostatni akompaniator barda (razem na zdjęciu) w latach 2009–2012, członek Kwartetu ProForma z Poznania.

GINTROWSKI PO LATACH

Jeżeli chodzi o takiego „codziennego” Gintrowskiego, to pamiętam go kompletnie inaczej, niż jest postrzegany teraz. Był to faktycznie taki... prawicowiec z zasadami i ogniem w oczach, to było w nim widać, za to absolutnie nie odczułem, żeby był zdiagnozowany i leniwy, jak to się go czasami przedstawia. Był rzutki, bez wątplenia: jak się do czego zapalił, to nie było zmiłuj – siedział i pisał po nocach nuty aż do skutku. W rozmowach było czuć, że potrafi się zapalić do jakiegoś pomysłu.

W czasie, kiedy graliśmy razem, Gintrowski pisał muzykę do filmu Macieja Ślesickiego „21:37. Trzy minuty” i pamiętam, że opowiadał o tym właściwie przy każdej okazji. Że mu nie idzie, pomysłów mu brakuje, że ma jeszcze do skomponowania piętnaście minut materiału... A jednocześnie widać było, że on siedzi całym sobą w tym projekcie i jest nim zajęty w stu procentach, a zagranie jakiegoś koncertu to jest dla niego sprawa poboczna. Ciekawe też było, jak wspominał pisanie muzyki do „Zmienników” i strasznie pomstował na to, ile musiał łącznie jej stworzyć do całego serialu. Nie pamiętam dokładnie liczby, ale padały wtedy liczby rzędu kilkuset minut.

A jednocześnie był to domator, który po koncercie pędził jak najprędzej do żony i córek. O jego domu nastuchałem się dużo i odniosłem wrażenie, że siedzenie w nim lubił najbardziej! Co nie zmienia faktu, że Gintrowski absolutnie nie kojarzy mi się z gościem, któremu nic się nie chce. Działał bardzo skrajnie, jak podchwycił jakiś pomysł, to momentalnie porywał wszystkich za sobą.

GINTROWSKI – PASJONAT

Czasem opowiadał, jak szedł kiedyś do sklepu przebierać w ofercie, a potem kupował to, co tam znalazł, w Internecie za dwie trzecie ceny. Umiął oszczędzić, wyszukać coś w dobrej cenie i oczywiście tym się chwalił. Pamiętam historię z kupnem jego ostatniego samochodu: chodziło bodajże o auto wystawione na aukcję przez bank, nowa sztuka. Opowiadał z prawdziwą pasją, jak z żoną czekał przed monitorem i śledzili na stronie internetowej kolejne oferty. Tak czekali, czekali... i ostatecznie okazało się, że kupił ten samochód za trzy czwarte jego rynkowej wartości.

Pamiętam dyskusję, jakie Gintrowski prowadził z naszym akustykiem Mieszkiem na temat fotografii. Przerzucali się wzajemnie modelami aparatów, obiektywów, różnymi cyframi, wartościami czy cenami w sposób dla

mnie niepojęty. I to były rozmowy na poziomie naprawdę fachowym, a jednocześnie prowadzone z dużym sercem i zaangażowaniem.

I żeby było ciekawiej, Przemek nie miał podobnego podejścia, jeżeli chodzi o muzykę i jej tworzenie. Tutaj podejście miał raczej konserwatywne: jeżeli już miał jakieś sprawdzone rozwiązanie w danej materii, to trzymał się go do samego końca. Byłem dość mocno zdziwiony, kiedy nagrywaliśmy „Kanapkę z Człowiekiem”. Gintrowski przyniósł do studia cały aranż w formacie MIDI... i to na Atari. Te wszystkie ślady w MIDI zostały zrzucone na komputer w studiu i cała sztuka polegała na tym, by podmienić te partie na muzykę graną przez żywych ludzi. Oczywiście, podłączyliśmy odpowiedni moduł, żeby to wszystko brzmiało sensownie, ale nie zapomnę swojej reakcji na ten, umówmy się, dość muzealny sprzęt. Spodziewałem się laptopa, a zobaczyłem paleoelektronikę. To Atari na tle sprzętów w studiu wyglądało komicznie, ale co by nie mówić – działało i sprawdziło się!

Podobnie sprawa się miała z podkładami podczas koncertów. Nic nie było robione za pomocą komputera, polegaliśmy na minidysku stacjonarnym – urządzeniu dużym, starym ale niezawodnym, używanym jeszcze w czasach płyty. Odpowiedź. A umówmy się, już wtedy był to sprzęt wiekowy, bo dziesięć lat w technologii to jest wieczność. Ale skoro działało i nie przeszkadzało nikomu ze słuchających?

POCZĄTEK GRANIA

Jak doszło do naszej współpracy? Ogniwem łączącym był Jacek Pechman, który był w pewnym czasie menadżerem zarówno naszego zespołu, jak i Przemysława Gintrowskiego. A wszystko zaczęło się od zaproszenia nas na pierwszy festiwal „Nadzieja” w Kołobrzegu, w 2004 roku. To było pospolite ruszenie, wszyscy zrobili, ile tylko mogli, żeby ta impreza się odbyła, a pieniądze wzięły tylko firmy odpowiedzialne za nagłośnienie i scenę. Podejrzewam że Jacek czuł wobec nas dług wdzięczności właśnie z racji naszego zaangażowania w „Nadzieję” i zorganizował nam dwa koncerty w grudniu tego samego roku. Właśnie wtedy dotarło do nas, że mogliśmy przekształcić nasze granie w coś poważniejszego. A to jeszcze nie były czasy pełnego Kwartetu ProForma, graliśmy we trójkę, wtedy jeszcze bez Wojtka Strzeleckiego i Marka Wawrzyniaka.

Tych koncertów było coraz więcej, prócz koncertów typowo poetyckich

graliśmy też na imprezach z okazji n-tej rocznicy Solidarności, gdzie grało się tych „Murów” do oporu. Jednym z koncertów, gdzie wówczas wystąpiliśmy, była impreza „O aniółach innym razem” 17.04.2009 roku w Gdańsku, w Centrum Świętego Jana. Ten koncert miał być wielkim powrotem Gintrowskiego po latach przerwy, ale okazało się, że zabrakło akompaniatora dla niego. Adam Sztaba już z nim nie grał, a Michał Salamon wykuszyl się z tej imprezy na tydzień lub dwa przed jej terminem. Wtedy Jacek Pechman do mnie zadzwonił i zapytał, czy nie byłbym w stanie zagrać tych trzech lub czterech piosek, a miałem ten komfort, że to były utwory, które graliśmy z Przemkiem Lembiczem właściwie od początku naszego wspólnego występowania.

Zagraliśmy te kilka utworów bez żadnej elektroniki, czysty fortepian i gitara. Gintrowski dość wyraźnie pomylił się w „Autoportrecie Witkacego”, po prostu za wcześniej wszedł z wokalem, ale ja trochę na niego zaczekałem, w trakcie piosenki wzajemnie się „poszukaliśmy” i nie było większego problemu. Po występie, gdy schodziliśmy ze sceny, pięknie mi za to podziękował:

– Punkt za czujność!

I od tamtego momentu zaczęła się nasza współpraca. Ale więcej szczegółów zna sam Jacek Pechman, bo teraz nie jestem w stanie sobie przypomnieć, jak to do końca wyglądało: czy ten Gdańsk to miała być próba przed wspólnym graniem, czy dopiero tamten koncert ostatecznie przesądził o dalszym graniu.

KONCERTY

Ile było tych koncertów? Ze wszystkich mam zachowane umowy może poza jednym, ale nie było ich więcej niż dwadzieścia. Te wyjazdy nie były częste, zwykle graliśmy raz na miesiąc lub dwa miesiące, czasem następowała dłuższa przerwa. Z koncertów, które wbiły mi się w pamięć, na pewno wymienię ten, w którym zagraliśmy... do kotleta. To była jakaś impreza solidarnościowa, bodajże pod Radomiem. Tak się zdarzyło, że my graliśmy koncert, a ludzie w tym czasie jedli, bo ktoś nie dograł momentu wniesienia talerzy na stoły. Do tego graliśmy na świeżym powietrzu, z tym że pod zadaszeniem. I to była nawet fajna „firmówka”, ale taki podkład muzyczny, jak nasz, był do tego wszystkiego... trochę niepasujący.

Utkwił mi także w pamięci występ na Placu Zamkowym, co by nie mówić, impreza czysto polityczna. Gramy Herberta, a potem na scenę wchodzi Jan Pietrzak ze swoim monologiem. Każdy pamięta, że sytuacja była wtedy dosyć

gęsta, hasła „gdzie jest krzyż” i tym podobne. I do dzisiaj na Youtube wisi film, jak Pietrzak podburza wypełniony po brzegi Plac Zamkowy. Wchodzę na scenę, zwiąm klawiszę po występie, a kilka tysięcy ludzi skanduje: HAN-BA! HAN-BA! Wystraszyłem się tej siły tłumu wtedy... (<https://www.youtube.com/watch?v=TKqLHdckrgw>)

Patrzyliśmy na to z naszym realizatorem Mieszkiem, a on z racji tego, że jest pół-Hindusem, ma trochę śniadą karnację. Tak spojrzeliśmy na siebie i Mieszko mówi: może ja już stąd pójde... W sumie gdyby w takim tłumie znalazł się ktoś agresywny, któremu przeszkałaby ciemniejsza skóra... I teraz się z tego śmieję, ale wtedy to było duże przeżycie i tak naprawdę nikt nie spodziewał się, że po latach wszystko w naszym kraju pójdzie w takim a nie innym kierunku.

A najciekawsze jest to, że sam Gintrowski w rozmowach ze mną nie poruszał politycznych tematów, ja też nie miałem takiej potrzeby. I podejrzewam, że on do końca raczej nie wiedział, jakie ja mam poglądy na takie czy inne sprawy. Może to lepiej, zostaliśmy na płaszczyźnie czysto zawodowej, muzycznej i nikt nie narzekał. Ale pamiętam, że dyskutowaliśmy kiedyś o rogalach marcińskich, specjalności Poznania. W mieście odbywa się corocznie konkurs pracowni cukierniczych na najlepsze rogale, w którym rywalizuje dużo cukierni, to wszystko oceniane jest przez różnych ekspertów z Izby Rzemieślniczej, a całą akcją od lat promuje „Gazeta Wyborcza”. I wystarczyło, gdy mówią o tych rogalach wspominałem przy nim o „Wyborczej”, żeby Gintrowski od razu się zjeżył! Mam tylko cichą nadzieję, że być może gdyby dożył on do dzisiejszych czasów i zobaczył, jak to obecnie wygląda, może byłby nieco mniej nieprzejednany w tych kwestiach. Jeszcze kilka lat temu w działania prawicy angażowało się sporo ideowców, którzy potem odchodzili od tego ruchu, gdy widzieli, w jaką stronę to zmierza. Ale jakby zareagował sam Gintrowski, nie dowiemy się nigdy.

CHCIAŁO MU SIĘ CZY NIE?

Jeżeli chodzi o współpracę muzyczną, miałem sporo wolnej ręki, jeżeli chodzi o pianino. Oczywiście był nacisk na poszczególne fragmenty i zagranie konkretnych melodii w danym utworze. Ale pozwoliłem sobie na kilka własnych dodatków i nigdy nie usłyszałem złego słowa na to, co wymyśliłem. Co do wpadek czy pomyłek, był jeden problem, który mocno utrudniał sprawę, czyli podkład. Leci automat perkusyjny i trudno zadziałać z nim w czasie rzeczywistym. Gintrowski miał coś takiego, że w razie wpadki cofał się w danym fragmencie i usiłował się poprawić.

Nasz Kwartet podczas występów z Kazikiem, często dzień w dzień, zdołał ustawić sobie taki „wewnętrzny zegarek”. Gdy kilka dni z rzędu ma jednakowy rozkład: rozłożenie sprzętu, próba, wejście na scenę, koncert, składanie – wykształca się pewien automatyzm działania, dotyczący także i samego grania. U Gintrowskiego tym „zegarkiem stabilizującym” podczas grania był podkład elektroniczny, ale czasem, z racji dużych odstępów czasowych między koncertami, miał z nim kłopoty. Przemek Lembicz w przypadku pomyłki w tekście po prostu leci dalej z piosenką, natomiast Gintrowski niepotrzebnie się cofał, usiłował poprawić i wtedy wychodził z rytmu, a wyrównanie następowało zwykle dopiero po linii tekstu. Tego nie miał do końca opracowanego, a to są grepsy sceniczne, które przydają się w razie słabszego momentu.

Kiedy siedziałem na koncertach ze swoim sprzętem wyraźnie z tyłu, to siłą rzeczy trudno było o zobaczenie emocji u Gintrowskiego i ocenianie jego zaangażowania. Inaczej to wygląda z Kwartetem, gdzie siedzę bliżej przodu

sceny, mam widok na cały zespół i jestem w stanie wszystko obserwować. Natomiast jeśli chodzi o interakcje na scenie, z Gintrowskim było tak, że miałem swój warsztat, którym się zajmowałem, ale mogłem nim sterować tylko w pewnym zakresie. Jeżeli w tle leciał automat, a Gintrowski nie zapanował nad tempem, to on miał problem, a nie ja. Brutalne, ale prawdziwe. Nie zawsze mogłem mu pomóc, ale starałem się, a jakże. A z samym podejściem do występów było różnie: czasem od razu po koncercie pakował się jak najszybciej i jechał do domu, a czasem powtarzał zadowolony „No, dzisiaj było dobrze” i widać było, że tym żyje. Ale z drugiej strony: przy takiej ilości koncertów, jakie on zagrał w swoim życiu, ten czy tamten – to nie miało jakiegoś wielkiego znaczenia. Inaczej jest, kiedy rozróżniasz trzydziesty występ od czterdziestego, a inaczej, gdy czterysta pięćdziesiąty od pięćsetego.

MOTORYZACJA

Gintrowski za kierownicą... To było szaleństwo. Jego samochód miał potężną moc, to było bodajże jakieś Volvo SUV z naprawdę dużą liczbą koni mechanicznych. Jak sobie przypominę, jak wyglądały z nim podróże... Wciskanie się, gdzie popadnie, wyrzucanie w niebezpiecznych miejscach, epitety pod adresem innych kierowców... Przyznam się szczerze, zwyczajnie trochę bałem się z nim jeździć. Siedziałem z tyłu i po prostu powtarzałem sobie w myślach „dojedźmy wreszcie!”. Jeździł rozważnie, ale agresywnie, to bez wątplenia.

Pamiętam naszą trasę na koncert w Kadzidle na Kurpiowszczyźnie. Była zima i jechaliśmy przez coraz większe zwały śniegu. Jedziemy na Ostrofękę, Łomżę, suniemy tym poboczem i tak się zastanawiamy: kto nas właściwie tam chce? I okazało się, że to był koncert organizowany przez miejscowych fanów. W każdym razie wtedy ten jeden jedyny raz widziałem, że Gintrowski jedzie ostrożnie! Na pewno znał się na motoryzacji i pamiętam do dziś jego długie przemowy na temat tego, dlaczego zmienił auto i w czym nowe będzie lepsze od starego. Cóż, słuchałem i udawałem, że też się znam. I oczywiście był zawsze wierny Volvo, co nakłada mi się wyraźnie na jego podejście do tworzenia muzyki. Czyli stosowanie starych, sprawdzonych rozwiązań.

KADZIDŁO I DALSZE RZECZY O KONCERTOWANIU

Koncert w Kadzidle był o tyle specyficzny, że doszło tam do niedopatrzeń organizatora, które zmusiło nas do dużych zmian. A chodziło o to, że nie zapewniono nam przejściówki, dosłownie jednego kabla. I przez to zupełnie odpadł nam repertuar z płyty Odpowiedź, dlatego musieliśmy sztukować tym, co znaliśmy. „ZOMO Spokój Bies” – umiesz? Dobra, gramy”. „Gdy tak siedzimy”? Okej, dopisane, zagramy na próbie”. I tak dorobiliśmy na szybko cały przód koncertu rzeczami z „Pamiętek” i „Raportu”. Trochę musieliśmy wtedy kombinować, bo setlista była wtedy raczej niezmienna. Z zagranieniem tytułowej „Odpowiedzi” nie było wtedy problemu, bo graliśmy ją wcześniej, tyle że z podkładem z płyty. Potem zagrałem utwory z „Trenu” tak, by zamarkować oczywiste braki w aranżacji, a na sam koniec poleciały utwory z „Kanapki z Człowiekiem”, z tym że w wersji klasycznej, na fortepian i gitarę. Ale koniec końców nie było źle, wszyscy byli zadowoleni. Zrobił się trochę koncert kombatancki, prosty w środkach, ale udany.

NA SCENIE

Lista utworów była bez większych szaleństw. Mieliśmy ustaloną setlistę maksymalną, którą potem dostosowaliśmy do potrzeb organizatora i siłą rzeczy kilka kawałków zawsze z niej musiało wylecieć, a kilka było nie do usunięcia. Zaczynaliśmy, wiadomo,



FOT. PATRYCJA KOSELA

od „Modlitwy o Wschodzie Słońca”, potem kolejno utwory z „Odpowiedzi”, „Trenu”, „Kanapki z człowiekiem”, a na koniec „Powrót” i bisy. Raz graliśmy w Warszawie w Cytadeli i wtedy jeden, jedyny raz zagraliśmy „Karola Levittoux”, zresztą w miejscu znajdującym się na ulicy imienia tegoż. I wyszło nieźle, aczkolwiek trochę nam zabrakło czasu na dopieszczenie aranżacji, a przydałoby się wtedy zrobić coś na kształt wersji z „Kamieni”.

Te jego dłuższe przerwy w koncertowaniu wynikały w jakiejś mierze ze spraw zdrowotnych. Premiera albumu „Tren” opóźniła się właśnie przez to, że Gintrowski złamał nogę i trzeba było poczekać, aż dojdzie do pełni zdrowia. Ale myślę, że te przerwy nie musiały być takie długie, gdyby regularnie działał i miał co jakiś czas płytę na rynku, którą można by było promować przez koncerty. Przy nowym albumie menadżer zwyczajnie ma co sprzedawać, a karta barda Solidarności nie zawsze działała. No i nie ma co ukrywać – Gintrowski się cenił, nie był tanim artystą. I w tych wysokich stawkach za koncert był jakiś złoty środek: z jednej strony ustalić taką kwotę za występ, by nie jeździć po Polsce i grać koncert raz na tydzień, tylko powiedzmy raz na miesiąc, a zarazem nie odstraszyć zupełnie organizatorów, by zupełnie przestali go zapraszać. Poza tym jak się jest legendą za życia... można sobie pozwolić na więcej.

TA POLITYKA...

Gitara służyła Gintrowskiemu w ostatnich latach zdecydowanie częściej jako podpórka niż faktyczny instrument, ale ona pełniła wtedy rolę swoistego rekwiwitu. Jego wizerunek sceniczny był właśnie z nią kojarzony. Co miałby bez niej robić na scenie – siedzieć, stać? A tak to wszystko zgadzało się z tym obrazem barda, jaki słuchacze znali od lat. W piosenkach z płyty „Odpowiedź” Gintrowski używał gitary oszczędnie, ale było ją słychać, natomiast w utworach z „Trenu” czy „Kanapki z człowiekiem”... po prostu była. Ale „Modlitwę o wschodzie słońca” graliśmy właśnie na gitarę i fortepian, czyli na czysto. Czy była jakakolwiek propozycja, żeby grać te utwory właśnie w aranżacji na gitarę i fortepian? Nie, pamiętajmy, że on siedział naprawdę długo nad swoim aranżem, rozbudowanym i głośnym, dlatego bardzo mu zależało na tym, żeby jego kompozycje wybrzmiewały tak, jak sobie to zaplanował.

Trochę mnie śmieszyło to, że Przemek płał się z polityką podczas koncertów. I nie chodzi tylko o utwory w stylu 171x czy Zgizdów, ale na przykład zapowiedź w stylu:

– Jest taki jeden popularny polityk, któremu chciałbym zadedykować pewien utwór...

I wtedy graliśmy „Jaki miły i mądry facet”. Nigdy nie padło na zwisko, a i tak wiadomo było, że chodzi o Donalda Tuska. Koncerty zwykle były dość schematyczne, ale z tego schematu wyłamał się występ w Kołobrzegu podczas festiwalu Nadzieja. I nie chodzi tylko o dobór utworów, bo graliśmy wtedy głównie rzeczy z części „Trenu” poświęconej kulturze Grecji i Rzymu, ale też o tę nieszczęsną politykę. Występ był świeży po opublikowaniu rządowego raportu dotyczącego katastrofy smoleńskiej: Gintrowski oczywiście musiał wtedy wygłosić taką przemowę, że siedzący w pierwszym rządzie Bogdan Borusewicz po prostu oburzony wstał i wyszedł. Zrobiło się wtedy mocno niezręcznie, siedziałem za klawiszami i zwyczajnie nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Nie wspominał tego fajnie.

Czy Gintrowski miał poczucie humoru? Miał, chociaż nie wiem, czy na swój temat! Ale na pewno nie był ponurakiem albo kimś śmiertelnie podchodzącym do samego siebie. Opowiadał na przykład historię z czasu trasy „Wojny Postu z Karnawalem”, kiedy kategorycznie zażądał od organizatora wyścieranego krzesła, bo z racji swojej dość sztywnego postury zwyczajnie nie mógł wysiedzieć kolejnej godziny na zwykłym krześle. To nie był gość z gatunku tych, którzy mają muchy w nosie. Co nie zmienia faktu, że miał swoje zasady i konkretne podejście do tego, co stworzył. A zarazem był bardzo daleki od tego, by ludzie traktowali go jak pomnik.

Pamiętam, jak kiedyś opowiadał historię z koncertu, podczas którego grał piosenkę „Karzeł”. Gintrowski przygotowywał się do kulminacyjnego momentu, ale widział, że jakiś fotograf szykuje się do zrobienia zdjęcia i właśnie w tej najważniejszej chwili Przemka oślepił błysk flesza. „I ja się składam do tego Karła, aż tu nagle jak on mi nie jebnie po oczach!” – to zdanie mi utkwilo w pamięci.

WSPOMNIENIA SPISAŁ:
MICHAŁ KACZMARCZYK



„Ten pogłos mnie kręcił”

Z Przemysławem Gintrowskim moje drogi przecięły się kilkakrotnie, choć nazwanie tej relacji znajomością byłoby nadużyciem. Osobiście spotkałem się z nim kilka razy, ale naprawdę i dłużej rozmawiałem raz, przy okazji pracy nad biografią Jacka Kaczmarskiego. Do dziś mogę być wdzięczny, że Pan Przemysław poczekał na mnie cierpliwie, ponieważ w erze „przedGPSowej” pobrałem trochę, nim znalazłem lokal w Wilanowie, do którego zaprosił mnie artysta.

Także późniejszą autoryzację wspominać jak najlepiej – nie sprawiając żadnego problemu zaakceptował spisane przeze mnie wypowiedzi, mimo że w jednej czy dwóch znalazły się wulgaryzmy, co nie każdemu z moich rozmówców przypadło do gustu. Wiadomość o śmierci pieśniarza 20 października 2012 roku spadła na mnie nieoczekiwanie, ponieważ nie wiedziałem wcześniej o jego poważnej chorobie. Była to informacja bardzo przykra, mimo braku relacji osobistych – zmarł artysta, którego twórczość towarzyszyła mi przez całe dorosłe życie.

Gintrowski był dla mnie muzykiem komponującym i śpiewającym piosenki (pieśni) do słów Zbigniewa Herberta, Jacka Kaczmarskiego i Krzysztofa Marii Sieniawskiego. Nikt nigdy nie zbliżył się do poziomu, w jaki umuzyczył poezję Herberta Gintrowski, wiele wierszy Pana Cogito znam na pamięć właśnie dzięki tym interpretacjom. Krzysztofa Marię Sieniawskiego Gintrowski odkrył i przedstawił światu; jest wysoce prawdopodobne, że bez jego kompozycji autor *Epitafium dla Sergiusza Jesienina* byłby dziś całkiem zapomniany. Na współpracy korzystał też Kaczmarski – wiele jego piosenek trudno sobie wyobrazić bez kompozycji i wykonania Gintrowskiego. Nie zapominam o takich poetach, jak Leszek Szaruga, Marek Tercz, Lothar Herbst, Mieczysław Jastrun, czy wreszcie Jerzy Czech, ale myśl o nich pojawia się w dalszej kolejności. Odrębny rozdział to muzyka filmowa i kilka tytułów, które zyskiwały zainteresowanie nie tylko ze względu na tematykę, nazwisko reżysera, aktorów, ale może w pierwszym odruchu za sprawą kompozytora. Do takich przypadków należą na pewno: *Ostatni prom*, *Matka Królów*, czy serial *Dorastanie*.

Pierwszy raz ujrzałem i usłyszałem Przemysława Gintrowskiego na żywo w poznańskim klubie studenckim Cicibór w 1989 lub 1990 roku. Bardzo dobrze znałem już z podziemnych kaset *Raport z oblężonego miasta* i *Pamiętki*, także płytę *Mury*. Wystąpił z samą gitarą, śpiewał utwory z żelaznego repertuaru lat osiemdziesiątych, opatrząc je komentarzami. Wtedy też pierwszy raz usłyszałem piosenki o Wielopolskim i Levittoux, które znalazły się później w programie *Kamienie*. Pamiętam szczególnie zapowiedź do *Margrabiego Wielopolskiego*; pieśniarz zadedykował ją Mieczysławowi Rakowskiemu, określając go mianem najinteligentniejszego komunistycznego premiera. Dla mnie pojęcie „inteligentny komunistyczny

premier” było wówczas jaskrawym oksymoronem, z czasem zacząłem rozumieć nieco więcej.

Inny solowy recital, który zrobił na mnie ogromne wrażenie, odbył się w sali kina Olimpia, sądzę że w roku 1991. Gintrowski wystąpił wówczas w zupełnie innej konwencji – śpiewał, stojąc w słuchawkach za instrumentami klawiszowymi. Obok, na fortepianie, akompaniował mu młodzieńki Piotr Rubik. Tak poznałem program *Kamienie* do słów Jerzego Czecha. Dla słuchaczy, którzy oczekiwali barda szarpącego struny gitary był to na pewno zgrzyt estetyczny, mnie ta nowoczesność zachwyciła, do dziś cenię tę płytę i często jej słucham.

Były też oczywiście ważne i bardzo ważne koncerty z Jackiem Kaczmarskim i Zbigniewem Łapińskim. *Mury w muzeum raj* to Teatr Muzyczny w roku 1991, ogromna energia i więzanka pieśni z czasów, kiedy jeszcze byłem za młody, żeby ich słuchać. W pamięć zapadła mi kolejka po autografy artystów pod publikacjami Pomatonu. Dziś sprzedaż i podpisywanie płyt po koncercie to norma, wówczas było to dla mnie novum (przynajmniej w tak zorganizowany sposób). *Wojna postu z karnawalem* w Eskulapie jesienią 1992 roku była doświadczeniem porażającym. Do dziś uważam ten program za najwybitniejsze wspólne osiągnięcie Tria. Dla mnie, polonisty, liczy się przede wszystkim intelektualna i poetycka wartość autorstwa Kaczmarskiego, ale wiem, że nie miałoby to takiej siły wyrazu, gdyby nie kompozycje i wykonawstwo Gintrowskiego i Łapińskiego. Wówczas myślałem o tych trzech artystach jako o zespole, którego dokonania są ważniejsze niż kariery indywidualne, dlatego później przez lata nie rozumiałem, nie godziłem się z faktem, że WPZK to ostatnie całociowe wspólne przedsięwzięcie.

Rozmowa, którą przeprowadziłem z Przemysławem Gintrowskim 14 stycznia 2007 roku miała dotyczyć przede wszystkim Jacka Kaczmarskiego. Często w takich sytuacjach głównym bohaterem staje się sam rozmówca i tak też było w tym przypadku. Dowiedziałem się między innymi, że już kilkunastoletni Przemysław sadzany był z plastikowym saksofonem między orkiestrą, akompaniując zespołowi pieśni i tańca, w którym występowała jego mama. W liceum grał na gitarze elektrycznej w zespole bigbitowym, a fascynowała go w tym czasie muzyka The Rolling Stones, The Animals, Procol Harum, King Crimson, The Yardbirds, The

Doors. Od początku 1981 roku nie pił alkoholu, dzięki czemu w stanie wojennym przez plot jednostki wojskowej wymieniał reglamentowaną wódkę na reglamentowaną benzynę do swojego malucha – przelicznik był prosty: za pół litra wódki dwadzieścia litrów benzyny. Sporo usłyszałem też o relacjach z Jackiem Kaczmarskim i Zbigniewem i Łapińskim – w pierwszym przypadku były to słowa pełne szacunku i głównie dobre wspomnienia, w drugim wręcz przeciwnie. To wtedy pierwszy (i tak dosłownie ostatni) raz usłyszałem, że nigdy nie było żadnego Tria, tylko ludzie tak sobie wymyśliли. Poznałem też przepis na sos seczuański – skądinąd wiedziałem już, że Pan Przemysław jest smakoszem i kucharzenie z przyjaciółmi sprawia mu niekłamną przyjemność.

Kilka miesięcy po tej rozmowie poczułem smak bezsilności, będąc blisko procesu wydawniczego płyty, która miała zawierać trzy kompozycje Przemysława Gintrowskiego do tekstów Jacka Kaczmarskiego. Grabaż z zespołem Strachy na Lachy przygotowywał płytę *Autor*, na którą miały wejść m.in. *Walka Jakuba z aniołem*, *Autoportret Witkacego* oraz *A my nie chcemy uciekać stąd*. W dwóch ostatnich utworach doszło do pewnych przesunięć kompozycyjnych, co w przypadku oficjalnej publikacji wymagało zgody kompozytora. Pan Przemysław postawił veto i zdania nie zmienił, mimo kilku rozmów z Grabażem oraz próśb wielu osób, próbujących życzliwie pośredniczyć między artystami. Płyta ostatecznie ukazała się bez tych dwóch piosenek, bywają one grane na koncertach i krążą nieoficjalnie w internecie, a Przemysław Gintrowski udowodnił swoją bezkompromisowość.

Powyższy przykład mógłby otwierać protokół rozbieżności i spraw, które czasem oddalały mnie od postaci tego znakomitego artysty. Konwencja, którą przyjąłem, nie przewiduje jednak takiej wielotorowości, dlatego jako puentę pozwolę sobie przywołać wypowiedź, którą usłyszałem pod koniec niezapomnianej dla mnie rozmowy, w niedzielne, styczniowe południe w warszawskim Wilanowie: *My z Jackiem urodziliśmy się po to, żeby śpiewać. Ja śpiewałem zawsze. Kiedy szedłem po klatkę schodową, to wszyscy wiedzieli, że idę, bo śpiewałem. Ten pogłos mnie kręcił. Kiedy to mówił, Pan Przemysław rozpromienił się i uśmiechnął naprawdę szczerze.*

KRZYSZTOF GAJDA

JACEK PECHMAN: kilka lat temu przyjechał do Kołobrzegu Andrzej Janicki. Człowiek z wielką pasją, dokumentujący publikacje prasowe o legendarnym TRIO, czyli Przemysławie Gintrowskim, Jacku Kaczmarskim i Zbigniewie Łapińskim. Przywiózł ze sobą dwa wielkie tomy artykułów, które zbierał przez wiele, wiele lat. Kiedy zacząłem ten niesamowity zbiór publikacji czytać, wpadłem na pomysł, by stworzyć taki kompilacyjny wywiad z Przemysławem Gintrowskim, złożony z różnych, autentycznych wypowiedzi barda, z których wyłania się portret osobisty artysty. Dzięki temu możemy dowiedzieć się o młodości licealnej Gintrowskiego, jego początkach drogi artystycznej, wyborach i postawie patriotycznej. Tak powstał...

Autoportret

DZIENNIKARZ: Zaczniemy naszą rozmowę od pańskiego znaku zodiaku...

GINTROWSKI: Jestem bardzo typowym Strzelcem, mimo, że urodziłem się 21 grudnia a więc na przełomie z Koziorożcem. Ta konstelacja gwiazd zawsze mi sprzyja, nie narzekam. W ludziach spod tego znaku cenię konsekwencję, lojalność, wyrozumiałość. Wymagam wiele od innych, bo sam dla siebie też nie jestem pobłażliwy. Zaliczam się do grona idealistów, chociaż nie nazwałbym siebie Don Kichotem. Strzelec powinien zawsze wierzyć w siebie i chyba tak jest w moim przypadku. Stąd biorą się inne cechy charakteru: wytrwałość, docieklivość i ufność we własne racje. Owszem mam własne zdanie – co więcej – zawsze się z nim zgadzam. Ludziom spod mojego znaku pisane są podróże. Jeśli chodzi o mnie to się sprawdza. Sporo jeżdżę z koncertami. Ale do prawdziwych przyjemności zaliczam wojaże niezawodowe – raz jest to kajak, innym razem góry.

Ładnie Pan siebie przedstawił. W szkołach królują Samantha Fox i Gintrowski. To wiadomoś z wiarygodnego źródła. Nie dziwi pana takie towarzystwo?

Ani trochę. Jestem w stanie zrozumieć, że w jednej głowie może zmieścić się i Gintrowski, i Michael Jackson.

A jeżeli w tych głowach Jacksona jest więcej?

Wcale się nie dziwię. On na pewno dużo lepiej ode mnie tańczy.

Ale za to do Pana można się dodzwonić, zostawić kartkę z poważnym miłosnym wyznaniem za samochodową wycieraczką, czekać na pana po koncercie... Czy to kłopotliwe być tak popularnym?

Nie, to przyjemne. Ale z tą burzliwą popularnością to jednak przesada...

Do pańskiej popularności niewątpliwie przyczyniły się koncerty, które Pan grał w stanie wojennym, a później krążące po całym kraju, przegrywane setki razy kasety z tych koncertów. Jak pan wspomina tamte lata?

Dla nas wszystkich był to czas pogardy. Ale paradoksalnie miał też swoje dobre strony. Wyłączono telefony, żeby nas przestraszyć, żeby utrudnić nam porozumiewanie się. I wydawać by się mogło, że kontakty między tymi ludźmi powinny się rozluźnić. Tymczasem stało się odwrotnie, stan wojenny oddziaływał bardzo integrująco. Spotykaliśmy się w różnych mieszkaniach, nie umawiając się wcześniej i przegadywaliśmy przyjaciółmi całe noce, ponieważ obowiązywała godzina milicyjna i można było wyjść do domu dopiero o piątej nad ranem. Ludzie, którzy przychodzili wówczas na moje koncerty, odbywające się w Muzeum Archidiecezji w Warszawie, pytali mnie czy się nie boję. Odpowiadałem im, że wręcz przeciwnie. Byłem wówczas w komfortowej sytuacji psychicznej. Śpiewając, krytykując władzę i wszystko co działo się wokół, przeżywałem pewnego rodzaju

katharsis. Z jednej strony był to więc dla mnie czas pogardy, ale z drugiej strony czułem się potrzebny.

Nikt i nic nie wróci atmosfery tamtych koncertów. Były jedyne i niepowtarzalne i na pewno długo będę je pamiętał. Czułem jedność ze słuchaczami

Pamięta Pan swoją noc z 12 na 13 grudnia 1981 roku?

Tak. 12 grudnia 1981 roku byłem w Poznaniu. Klub Medyków, sobotni wieczór, koncert pod tytułem „Niechciane teksty PRL”, wśród wykonawców także ja. Klub pęka w szwach, atmosfera wspaniała, koncert kończy się po godzinie 22. Szybko wracam do hotelu, na jutro zaplanowana jest powtórka koncertu, biorę prysznic i przed oddaniem się w ramiona Morfeusza wykonuję telefon do Warszawy, do domu i ups – nie działa, nie zwróciło to mojej uwagi, takie rzeczy się zdarzały...

Leżakowanie do rana. Rano budzi mnie łomotanie do drzwi, otwieram, wpada do pokoju organizator koncertów i mówi – „wojna, włącz telewizor” – włączyłem i zobaczyłem, co? – wszyscy wiecie. Oczywiście było, że wieczorny koncert się nie odbędzie. Organizator mówi – „Przemek uciekaj”, wtedy nie wiedzieliśmy, że WRONA ludzi związanych z kulturą nie będzie ruszała, że w swoich planach miała dla nich wyznaczoną „rolę”, ha, ha – nie udało się, bo nie przewidzieli tak spójnej postawy tej grupy społecznej – w kilka dni potem bojkot mediów, teatrów i scen stał się faktem a WRONA kłopsa posiadała.

Zatem uciekam. Biorę do łapy plecak, gitarę i udaję się na dworzec w Poznaniu, a tu niespodzianka – pociągi nie kursują, no tak, ale jeden musi przejechać, bo przecież nie zależy to od Jaruzela. Berlin – Moskwa, ten jedzie (ku przemyśleniom i przestrodze, na czasy dzisiejsze) i po godzinach paru przyjechał, pakuję się do niego z dziesiątkami innych ludzi, ścisk okrutny, nastoje buńczuczne, my wam pokażemy, śmiechy i itp... Miny nam rzedną, gdy w godzinach wieczornych dojeżdżamy do Warszawy – przez okna pociągu widać Ursus – czołgi, transportery opancerzone, płonące koksowniki i żołnierzy w polskich mundurach, pojawił się w nas ból i strach. Warszawa Centralna – widok prawie ten sam, tylko czołgów nie było. Na parkingu zaparkowana moja hulajnoga stoi (fiat 126p), wsiadam, na szczęście odpala (mróz był siarczysty), jadę na Mokotów, to co widzę przez okna przygnębia mnie coraz bardziej (we łbie tłucze mi się ciągle ten polski mundur, nijak pojąć tego nie mogę) i jadę coraz wolniej, dojeżdżam do domu. W rogu pokoju fłaszki gorzałki się piętrzą, parę lat wcześniej podjąłem decyzję o abstynencji (o tak na przekór, większość pije – to ja nie będę), wódkę – która była na kartki – kupowałem, bo jak nie kupić czegoś, co było reglamentowane. Tego wieczoru się napiłem.

Stan wojenny był nieuczciwy – był chęcią zachowania władzy za wszelką cenę, ale jednocześnie, wbrew intencjom wprowadzających go, okazał się gwoździem do trumny komunizmu w Polsce. Moja sytuacja była dość



komfortowa, miast dusić bezradność i wściekłość w sobie, miałem możliwość wyśpiewania tego publicznie.

Z czego Pan wówczas żył?

Z koncertów właśnie. Ale pamiętam i takie czasy, gdy nie miałem nawet na papierosa.

Pamięta Pan festiwal FAMA w 1983 r., kiedy wystąpił Pan z programem „Pamiętki”, śpiewając m.in. „Autoportret Witkacego” i wiersz Herberta „17 września”?

Wbrew cenzurze, która nie pozwoliła mi tego śpiewać.

W omawiającej Pana występ relacji na łamach biuletynu FAMY nawet nie pozwolono tych tytułów wymienić.

Doszło do protestu jakichś radzieckich oficerów obecnych na moim występie w świnoujskim amfiteatrze. Nie tylko musiałem następnego dnia wyjechać, ale i dostałem zakaz wstępu do województwa szczecińskiego przez trzy lata. Działo się w głowie nie mieści.

Jak Pan sądzi, kim Pan był dla tych młodych ludzi, którzy przychodzili na pana koncerty? Bardem? Przewodnikiem duchowym? Uosobieniem buntu i niezależności?

Tak naprawdę nigdy nie zastanawiałem się nad tym. Śpiewałem to, co uważałem za słuszne i moralne. Swoje śpiewanie traktowałem bardzo osobiście. A jednocześnie utożsamiałem się z widzami. Czułem się tak samo jak oni upokorzony i upodlony. Myślę, że wtedy najważniejsze było to, iż przez półtorej godziny trwania koncertu mogliśmy poczuć się godnie. Rozumiałem, że jestem dla władzy be i z całą pokorą przyjmowałem ten fakt do wiadomości. Swoje miejsce widziałem więc tylko w drugim obiegu.

Kilka razy przy różnych okazjach mówił Pan, że to bardzo dobrze, iż nie dostał Pan paszportu w stanie wojennym i nie mógł wyjechać z kraju. Jak to rozumieć? Emigracja jest paskudna?

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem emigracji. Jednak nie mam nikomu za złe, że emigruje. Każdy z nas ma niezbywalne

prawo do decydowania, gdzie chce żyć i z kim się przyjaźnić. To nie wymaga żadnego dowodu, to jest aksjomat. Rozumiem każdego, kto mówi: ja tym tramwajem dalej nie jadę, przepraszam, wysiadam, nie umiem, nie potrafię, wszystko mnie tutaj drażni. A ilekroć mam okazję rozmawiać z ludźmi, którzy się wahają, zawsze namawiam ich, żeby zostać, żeby nie uciekać.

Kaczmarski uciekł...

To była jego osobista decyzja. Nie do mnie należy jej ocena.

Nigdy nie chciał Pan być na jego miejscu?

Ani przez sekundę. Czuję się bardzo związany z Polską. Tu się urodziłem, mówię tym językiem, tkwię w tej kulturze i tak dalej. Mnóstwo spraw składa się na to, że czujemy się Polakami, a nie Niemcami na przykład. Odciąć się od tych korzeni – mnie to nie pociąga. Poza tym jestem niejałowo zawodowo związany z Polską. Piosenki, które śpiewam, są ważne tu i dla nas, dla nikogo innego. Pamiętam koncerty we Francji w 1981 roku. Obaj z Jackiem czuliśmy, że Francuzi patrzą na nas, jak na dwie małpy, którym pot spływa po twarzy i żyły wychodzą na wierzch. Dla nich to było trochę egzotyki. Ze Wschodu.

Czy wy się przyjaźniście?

Nie wiem. Po prostu pracowaliśmy ze sobą. Cel był tak wyraźny i jasno postawiony, że nie myśleliśmy o niczym innym. Spędziliśmy ze sobą masę czasu. Bez pewnego rodzaju zażyłości, przyjaźni nie wytrzymalibyśmy chyba ze sobą tylu lat.

Z programu telewizyjnego „102”... wiemy, że lubi Pan whisky i robi świetne sałatki. Co jeszcze Pan lubi?

Lubię dobrą muzykę. Poważną, symfoniczną, ale i lekką. Lubię Kate Bush, Enyę, która śpiewa najczystej na świecie. Lubię także wracać do starszej muzyki, na której się wychowałem, do nagrań Procol Harum, The Doors, King Crimson, The Moody Blues.

Lubiłbym mieć dobre samochód, bo bardzo lubię jeździć samochodem. Jeżdżenie dziesięcioletnim maluchem na koncerty to zabójstwo dla organizmu.

A jeśli chodzi o starocie, to wolę stare meble i skorupy.

No i jeszcze lubię narty.

Skomponował Pan muzykę do wielu filmów. Między innymi do „Matki królów” Janusza Zaorskiego, „Nadзору” Wiesława Saniewskiego, do serialu „Zmiennicy”. Czy taka praca wymaga ustępstw na rzecz reżysera? W jakim stopniu jest Pan dyspozycyjny?

Jestem wyłącznie dyspozycyjny – reżyser jest zwierzchnikiem całego przedsięwzięcia i on ma decydujący głos. Ja mogę jedynie sugerować, proponować.

Odpowiada Panu taka rola?

W filmie – tak.

Chciałby Pan pisać muzykę do zachodnich filmów?

O tak, to by mi się podobało. Fellini jeszcze nie dzwonił.

Chętnie napisałbym muzykę Peterowi Weirowi, reżyserowi mojego ukochanego filmu „Piknik pod wiszącą skałą”, Herzogowi, bo też cenię tego reżysera. I do jakiegoś filmu sensacyjnego.

Pisanie muzyki filmowej to niewątpliwie wyższy stopień wtajemniczenia dla kompozytora. Taka praca stwarza chyba większe możliwości dla wyobraźni niż pisanie muzyki do określonego tekstu?

Odwrotnie. Muzyka filmowa to kaganiec założony na chęci twórcze kompozytora. Znacznie większą swobodę mam przy komponowaniu piosenek, tym bardziej że sam je wykonuję. Natomiast praca nad muzyką filmową jest równie fascynująca, co irytująca. Nie jest tak, że pisze się dwadzieścia minut muzyki i reżyser sam ją sobie „potnie” i dopasuje do sekwencji filmowych. Trzeba oddzielnie komponować każdy fragment muzyczny, zamknięte sekwencje np. kilkusekundowe. To narzuca ograniczenia. A poza tym, praca z reżyserami nie jest łatwym kawałkiem chleba. Reżyser to potwór, który nieustannie wybrzydza i ma swoje muzyczne pomysły.

Ale efekt tych zapasów bywa czasem najwyższej

klasy. Przykładem jest Pana muzyka do filmów „Matka królów” w reż. Janusza Zaorskiego czy „Nadzór” w reż. Wiesława Saniewskiego.

Bardzo miło wspominam współpracę ze Stanisławem Bareją, człowiekiem godnym ze wszecch miar szacunku. Zaproponował mi napisanie muzyki do „Zmienników”. Robił to z niepokojem, wiedział bowiem, że wykonuję muzykę na instrumentach elektronicznych. On sam należał do starszego pokolenia i termin muzyka elektroniczna kojarzył mu się z niesamowitymi odgłosami, przypadkowymi dźwiękami, plumkami. Nie dzielił się swoimi wątpliwościami, co do efektu mojej pracy, ale pojawił się na pierwszym nagraniu, co nie jest w zwyczaju reżyserów. W miarę upływu czasu coraz bardziej przekonywał się do moich pomysłów. Gdy przeszedł się cały serial, to muzyki jest w nim więcej z odcinka na odcinek a ostatni jest już prawie cały „umuzyczniony”. Bareja to był fantastyczny facet, wszyscy chcieli z nim rozmawiać. Ja pracując przy filmach nie przesiadałem w produkcji, czyli w miejscu gdzie siedzi sztab ludzi produkujących dany film. Bo nie mam na to czasu. Ale pamiętam, że na plan „Zmienników” przyjeżdżałem codziennie. Po to, by spotkać się ze Staszkiem. Zresztą wszyscy w produkcji od samego rana nie mogli się już doczekać przyścia Staszka. On przyjeżdżał do pracy i przez pół godziny opowiadał jak mu upłynęła droga z domu do Poltelu. A mieszkał niedaleko, bo w okolicach ulicy Wołoskiej. Ale Bareja miał niesamowitą zdolność obserwowania „krzywymi” oczami i przekształcania takich zwykłych opowieści, scenek rodzajowych w anegdotę. On mówił w sposób bardzo zabawny. Rzeczy banalne, spotkani ludzie, motorniczy w tramwaju, wypadek na ulicy w opowieściach Staszka urastały do całej story. On w ogóle dużo mówił, ale wszyscy modlili się nie o to, by on przestał mówić tylko, by on wciąż mówił.

Odnosiłem wrażenie, że życie Staszka Barei wpływało na przecieraniu nam oczu. My żyliśmy w tym komunizmie w takich różowych okularach, a on chodź ze ściereczką i nam te okulary przecierał, żebyśmy wreszcie zobaczyli jak to wszystko naprawdę wygląda. Wydaje mi się, że takie było posłannictwo jego życia, że on wyszysząc ten kompletnie zidiociałą rzeczywistość w jakiej żyliśmy, pokazując te absurdy – w ten sposób realizował swoje życie. Myślę, że kino polskie poniosło olbrzymią stratę.

Wróćmy do śpiewania. Czy nie odnosi Pan czasem wrażenia, że śpiewa do próżni?

Gdybym nie wierzył w to, co robię, natychmiast zająłbym się czymś innym.

Czy tym wszystkim zagonionym w codzienności, wymęczonym w środkach MZK i zdenerwowanym kolejkami ludziom potrzebna jest poezja? Może naprawdę lepiej aplikować im muzykę lekką, łatwą i przyjemną, nie absorbującą wyobraźni i nie zabierającą czasu?

Zaproszono mnie kiedyś na koncert do Gdańska. I jak to zwykle bywa organizatorzy oprócz imprezy właściwej załatwili mi chałturę – w Jastrzębiej Górze, w domu wypoczynkowym jakieś kopalni czy huty. Dzień wcześniej był tam Wojciech Belon ze swoją grupą. Jak wejdziesz na salę – powiedział mi Wojtek – to wycisz głos w telewizorze. Troszeczkę, nie do końca, to będzie wszystko dobrze. Tak, żeby Tobie nie przeszkadzał, a niech oni sobie oglądają. Przyjechałem, zacząłem grać... Miałem dużo szczęścia: program w telewizorze był akurak kiepski...

Za każdym razem śpiewa Pan tak, jakby to był ostatni koncert. Daje Pan z siebie

wszystko. Czy myśli Pan, że może nadejść taki dzień, kiedy wystąpi Pan po raz ostatni?

Nie zastanawiam się nad tym. Oczywiście, jak wszyscy, którzy pracują głosem, mam kłopoty z gardłem. Poza tym, cóż... marzę o takiej chwili, w której mógłbym przestać śpiewać...

A kiedy Pan zaczął?

W połowie lat siedemdziesiątych. Studiowałem na Wydziale Mechaniki, Energetyki i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej oraz fizykę na Uniwersytecie. Śpiewałem w Sigmie, potem wystąpiłem na Jarmarku Piosenki, który wygrałem. W tym czasie w „Remoncie” powstał Piosenkariat, gdzie działali oprócz mnie Stanisław Zygmunt, Staszek Klawe, Zbyszek Łapiński i Jacek Kaczmarski. Ta grupa twórców podzieliła się potem na nurt kabaretowy i piosenki. Zaczęliśmy występować z Jackiem w „Teatrze na Rozdrożu”.

Ale jeszcze wcześniej byliście czasami licealnymi?

Szkoła średnia to równoległe liceum ogólnokształcące i szkoła muzyczna. Pierwsza kapela to szkolny zespół beatowy w warszawskim liceum Tadeusza Reytana. Takie licealne kopiowanie Doorsów, Stonesów, śpiewu Jima Morrisona. To również słuchanie Radia Luksemburg i jej prezentacja w szkolnym radiowęźle w czasie długiej przerwy. Przede wszystkim jednak liceum to standardowe wypełnianie programu szkolnego zgodnie z obowiązującymi normami. O takich faktach z historii jak Katyń czy napaść sowiektów na Polskę dowiedziałem się zdecydowanie później. Nie miałem takiego szczęścia i nie uczył mnie profesor Gugulski, który nie bał się mówić o prawdziwej historii Polski wprost na lekcjach.

W Pana czasach panowała wówczas moda na długie włosy...

No cóż, nosiłem je jak wielu kolegów. Moja nauczycielka od matematyki, świetna pani Gorylukowa, mówiła: „Gintrowski do fryzjera!”. Odpowiadałem: „Nie!”. Więc ona: „A wiesz, jaka jest między nami umowa?” A umowa była taka, że jeśli nie pójdę się ostrzyć to będę musiał odrobić dziesięć dodatkowych zadań z matematyki. I finał był taki, że kiedy zdawałem na politechnikę w 1969 roku, zadania, które trzeba było rozwiązać w pięć godzin na egzaminie, zrobiłem w półtorej.

No dobrze. Pierwszy program to były „Mury”, potem „Raj” i „Muzeum” w Zachęcie. Wszyscy trzej, czyli Pan, Kaczmarski i Łapiński byliście twórcami a jednak mówilo się tylko o Jacku.

Nie kłóciliśmy się o popularność. Jacek był postacią centralną i zgadzaliśmy się na to, znając jego charakter. On zawsze potrzebował aplauzu i „swojej publiczności”.

Ludzie wychodzili z waszych koncertów oszołomeni, rozbici. Nie oszczędzacie słuchaczy. To stwierdzenie może być komplemmentem. Ale jeżeli umówimy się, że postawię je Panu jako zarzut, jak go Pan odeprze?

Zawsze uważałem, że najgorsza prawda jest lepsza od zakłamania. To rzeczywistość zadaje ludziom ciosy. Sztuka jednak powinna obiektywizować rzeczywistość na tyle, aby jej opis był aktualny i za pięćdziesiąt lat. To znaczy poruszać podstawowe wartości moralne. Jeżeli ta rzeczywistość jest, delikatnie mówiąc nie najlepsza, pewne rzeczy odbiera się ze zdwojoną siłą. Na przykład twierdzenie, że twórczość Herberta jest twórczością polityczną, uważam za krzywdzące uproszczenie dla sztuki tego poety. To warunki niejednokrotnie pozwalają ją tak interpretować, ponieważ broni pryncypiów tego, co nazywamy człowieczeństwem. I jeszcze jedna sprawa:

nieprawdą jest, że pewne etapy naszej historii tracą swą aktualność. Są okresy, które dziś, w nowym wymiarze ekspozują swoje znaczenie – na przykład Chrzesz Polski...

Ale zdaje Pan sobie sprawę, że w czasie gdy Pan występował, widzowie mieli skłonności do politycznego a nie artystycznego oceniania twórczości. Pana popularność wynikała także z tego, że śpiewał Pan określony repertuar.

Jeśli ktoś mówił, że jestem dobry wynikało to jak sądzę z uznania dla formy artystycznej. Zawsze dążyłem do uprawiania sztuki, która niosąc w sobie treść nie ma w pogardzie formy...

Przyłgnęła jednak do Pana etykiętka twórcy politycznego.

Takie określenia są względne. Często warunki zewnętrzne upolityczniają sztukę. Ten sam temat w jednym kraju będzie polityczny, a w drugim nie będzie budził takich skojarzeń. Poza tym, powołaniem artysty jest bycie uczciwym i stanie na straży pewnych wartości moralnych. Gdy żyliśmy w systemie totalitarnym, to dla mnie było oczywiste, że artysta powinien się angażować w politykę i za pomocą swojej twórczości walczyć z niesprawiedliwością

Zbigniew Herbert... Dlaczego wybrał Pan do śpiewania właśnie tę poezję?

Kocham te wiersze. Herbert jest dla mnie najwybitniejszym współczesnym polskim poetą. Literackiego Nobla dostało dwoje współcześnie żyjących Polaków, ale żadnym z nagrodzonych nie był Herbert. Został popełniony wielki błąd – wielki wstyd w Sztokholmie.

Jak się zaczęła Pana przygoda z wierszami Herberta?

Z przykrością muszę stwierdzić, że choć uczyłem się w jednej z najlepszych wówczas szkół warszawskich, Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Rejtana, na lekcji polskiego nigdy nie padło nazwisko Herberta. Nie było go w programie szkolnym i z poezją tą zetknąłem się, dopiero kiedy studiowałem fizykę na Uniwersytecie Warszawskim. Były to moje drugie studia, druga połowa lat 70., nieśmiało zaczynałam funkcjonować wydawnictwa podziemne i wpadł mi w ręce wydany przez kogoś zbiorek. Następnie, już bardziej metodycznie, zacząłem czytać i inne tomy Herberta, który przecież był wtedy normalnie wydawany, tyle że w ograniczonych nakładach i przez to trudno dostępny. Wkrótce też zacząłem pisać muzykę do tych wierszy. Z ich autorem poznałem się dużo później, w stanie wojennym.

Mówi Pan, że Herbert wielkim poetą był. Na czym polega jego wielkość?

Na samym początku na pewno trzeba powiedzieć o niezwykłej polszczyźnie Herberta, o tym, jak wspaniale operuje on słowem. Gdy ktoś przynosi mi wiersz i prosi, żebym go ocenił albo napisał do niego muzykę – robię test. Zamazuję jedno słowo, albo jeden wers i patrzę, co się dzieje. Jeżeli utwór po takim barbarzyństwie nadal istnieje, to znak, że to „coś” to nie jest wiersz. U Herberta wystarczy zamazać jedno słowo i nie ma wiersza. Wiersz się rozpada. Ważny jest dla mnie też Herbertowski system wartości. Przejrzystość i ukochanie tradycyjnych wartości moralnych zachwycać nigdy mnie nie przestaną.

A na czym polega wielkość tej poezji – nie potrafisz precyzyjnie odpowiedzieć. Wiem, że jest wielka. Odbieram to intuicyjnie, ale udowodnić tej tezy nie potrafisz, tak jak nikt nie potrafi udowodnić tezy, że Mozart jest wielki, choć wszyscy o tym wiedzą. Nie istnieją wyznaczniki wielkiej sztuki.

Znalście się Panowie. Czy poeta lubił Pana piosenki?

Poznaliśmy się w stanie wojennym. Zrobiłem program „Pamiętki”, gdzie śpiewałem kilka wierszy poety. Pomyślałem, że warto, aby autor tekstu wiedział, co wyrabiam z jego twórczością. Telefony wtedy nie działały, był rok 1982. Herbert mieszkał w Warszawie przy ulicy Promenady, na Mokotowie. Któregoś pięknego dnia zastukałem do jego drzwi. Przedstawiłem się, wszedłem do środka, a potem od czasu do czasu spotykaliśmy się.

On wtedy mówił, a ja słuchałem. Na początku moje piosenki niespecjalnie przypadły mu do gustu. Herbert uważał, że jego wiersze są skończone i nie potrzebują dodatkowej, muzycznej oprawy i interpretacji. Potem się do nich jednak przekonał. Opowiadano mi, że kiedyś podczas spotkania ze studentami na uniwersytecie w Poznaniu powiedział słuchaczom, że jego wiersze i moja osoba łączą te same emocje. Mówił: „niech pan sobie je śpiewa, panie Przemysławie”. Kiedyś przesłała mi kartkę – nota bene z wizerunkiem pomnika Chopina (złosiwiec!) – podpisał: Herbert – tekściarz pana Gintrowskiego”.

Muzykę do „Trenu Fortynbrasa” komponował Pan podobno szesnaście lat!

To prawda. Pracuję w ten sposób, że gotowy utwór porzucam na miesiąc. Potem wracam do niego, by spojrzeć z nowej perspektywy. Wszystko, co z początku napisałem, wylądowało więc w koszu. Żadna kompozycja nie wydała mi się godna tego wiersza. Wreszcie znalazłem odpowiednią formę muzyczną. Zdarza się również, że muzyka sama spływa ze mnie. Chodzę po domu, czytam wiele razy wiersz rozwieszony na kartkach, uczę się go na pamięć. Wiersz jest zatem cały czas koło mnie i nagle nie pozostaje nic innego, jak zacząć stawiać kropki na pięciolini.

Jakim Herbert był człowiekiem?

Kiedy o nim myślę, to zawsze jawi mi się taki facet śmieszny, który jest bardzo

poważny. A na ramieniu siedzi mu bożek ironii. Trzeba bowiem wiedzieć, że Herbert był niebywałym ironistą. Był też człowiekiem niewyobraźalnie wręcz skromnym. Mimo że wiedział, że przechodzi do kanonów literatury światowej, to nie było w nim krztyny megalomanstwa. Zachowywał się tak, jakby to go wcale nie obchodziło. Myślę, że bardzo wiele ze swojej postawy życiowej zawdzięczam panu Zbigniewowi Herbertowi. Wielką mądrość tego wielkiego człowieka i wielkiego poety dodawała mi sił, napędu, przekonania o słuszności tego, co robię.

Pamiętam, jak po którejś demonstracji pierwszo- czy trzecimajowej powiedział mi: „No i co, panie Przemysławie, znów się pan chuliganit na ulicach”. Przynaknąłem, a on stwierdził: „Szkoda was, młodych, na to. Wszyscy musimy czekać. Tu nie wytrzyma materia. Ona pierwsza odmówi współpracy”.

Miał, oczywiście, rację, że musimy czekać. Wszyscy musieliśmy czekać, bo to co było, nie mogło już długo funkcjonować. I za te słowa, i za wiele innych, cierpliwie tłumaczenie i objaśnianie świata – jestem mu bardzo wdzięczny. Na pewno był on i jest nadal jednym z najwyższych autorytetów moralnych, jakie miałem w życiu.

Twórczość tego poety jednak nie należy do najłatwiejszych.

No cóż, żeby zrozumieć do końca Herberta, trzeba mieć pewną bazę intelektualną. Po prostu inaczej się nie da. Weźmy chociażby „Tren Fortynbrasa”. Jeżeli ktoś nie wie, kim był Hamlet, nie może zrozumieć tego wiersza.

Zastanawiał się Pan, jaki byłby świat bez poezji?

Nie. Nigdy o tym nie myślałem. Każdy człowiek, gdy przychodzi na świat, ma w sobie potrzebę pewnej estetyki, czegoś, co nie jest li tylko biologią naszego życia. Jedni tę potrzebę rozwijają, a drudzy wręcz przeciwnie – zabijają. Bez sztuki żyć się nie da. Jestem o tym głęboko przekonany.

Sławomir Zygmunt

Spotkania z...

Zdzisław Beksiński • Małgorzata Braunek
Bogdan Chorażuk • Ewa Dałkowska
Robert De Niro • Aleksander Domogarow
Jerzy Duda-Graczyk • Adam Ferency
Przemysław Gintrowski • Gustaw Holoubek
Hong Zhitian • Jacek Kaczmarski
Krzysztof Krauze • Michał Lorenc
Olgierd Łukaszewicz • Lech Majewski
Stanisław Mikułski • Marian Opania
Andrzej Pałowski • Eugeniusz Priwiezienczew
Joanna Rawik • Barbara Sass-Zdort
Marek Sobczak • Grażyna Szapolowska
Franciszek Szydełko • Roman Wilhelm
i inni



ORLEN

MECENAS KULTURY



TELEWIZJA POLSKA

patron medialny

Pamiętki

I OGÓLNOPOLSKI PRZEGLĄD TWÓRCZOŚCI
PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

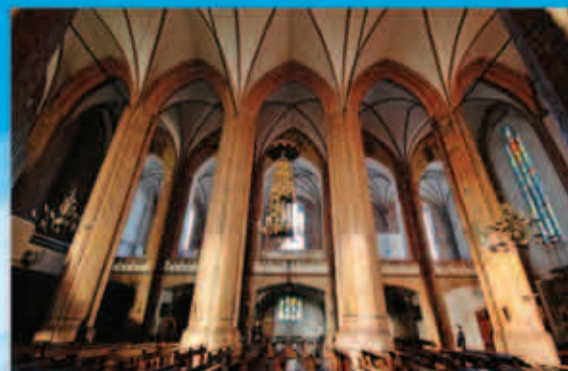
Kołobrzeg, 12-13 lipca 2019r.

tvp.pl

Koło brzeg

Kołobrzeg jest największym nadmorskim uzdrowiskiem. Naszą wizytówką jest umiejętne łączenie atrakcji z niezapomnianym relaksem wśród złotych plaż. Latem to pulsujący życiem zakątek wybrzeża, zimą idealne miejsce do odpoczynku w krajobrazie mroźnej szaty Bałtyku. Nasze hotele znajdują się w czołówce światowych portali rezerwacyjnych. Wysoka jakość usług SPA i wellness opiera się na recepturach z kołobrzesckiej borowiny i solanki, z myślą o tych, którzy cenią sobie jakość i luksus. Usługi gastronomiczne, restauracje a'la carte, potrawy przygotowywane na oczach klientów, klimatyczne kawiarnie zadowolą wszystkich gości. Baseny, korty tenisowe, liczne szlaki spacerowe i rowerowe zachęcą do aktywnego wypoczynku. Kołobrzeg porwie was w niebagatelną przygodę nad brzegiem Bałtyku.

Dowiedz się więcej na www.klimatycznykolobrzeg.pl





**POLSKIE
RADIO**

Agencja Muzyczna Polskiego Radia poleca płyty:



Popularne kompozycje Zbigniewa Wodeckiego w wersji jazzowej.



12 część cyklu „Jan Kanty Pawłuskiewicz. Antologia”. Zapis koncertu z okazji 50. rocznicy pracy artystycznej kompozytora.



Wybitny polski aktor – Andrzej Grabowski w poetyckiej odsłonie. Charakterystyczny głos, chropowate brzmienie i nieoczywiste piosenki.



Najważniejsze, niepublikowane dotąd myśli Jana Pawła II. Wyjątkowy, dwupłytowy album przygotowany na 40-lecie pierwszej pielgrzymki do Polski.



Piosenki Kamila Wasickiego to w pełni autorskie utwory zarówno w warstwie literackiej jak i muzycznej. Dojrzałe teksty pełne zręcznych metafor i odkrywczych skojarzeń.



Pierwszy solowy album Michała Kowalonia, lidera zespołu Snowman, byłego wokalisty zespołu Myslovitz. 10 muzycznych opowieści o przyjaźni, stracie i miłości. Historie, o których warto pamiętać.



Ósma, kończąca serię płyta, zawierająca niepublikowane dotąd nagrania radiowe Krzysztofa Komedy.



Historia Polski zapisana w piosenkach słynnych Bardów.



sklep.polskieradio.pl

Płyty do kupienia w sklepach muzycznych i na:

AUDYTORIUM17.pl

AUDYTORIUM17



AUDYTORIUM17



Audytorium17 to Grupa Radiowa, która reprezentuje, promocyjnie i reklamowo, siedemnaście Regionalnych Rozgłośni Polskiego Radia, anteny miejskie oraz DAB+. Największy zasięg w Polsce – Audytorium17 dociera do 36 445 804 mieszkańców.

www.fundacjalotto.pl



sport

kultura

**aktywność
społeczna**

**działalność
charytatywna**

**bezpieczna
rozrywka**



@FundacjaLOTTO

